

# PRACA nad sobą

Zeszyt 10, grudzień 1998

## KRYTYKANCTWO

W dawnych stuleciach istniały przyrodzone autorytety, których postępki nie wypadło dyskutować. Rodzice mieli prawo ukarać dziecko sprawiedliwie lub niesprawiedliwie, można było czuć do nich żal, ale nie można było ich krytykować, podobnie parobek u gospodarza, uczeń lub czeladnik u mistrza byli poddani jego woli. Mogli być zadowoleni lub niezadowoleni z ich stosunku do siebie, mogli czasami (oj, nie zawsze) zmienić swego zwierzchnika, na ogół starali się jednak prosto pozyskać jego sympatię niż żywić swoją niechęć. Podobnie było z działaniami proboszcza na parafii, dowódcy w wojsku i wielu innych osób. Szczególnie mocno wyrażało się to w stosunku do koronowanego władcy - króla czy cesarza. Mniej się to zaznaczało w Polsce, gdzie wybieralny król był pewnego rodzaju koronowanym prezydentem. Ale na zachodzie posłuszeństwo dla władcy, zaniechanie wszelkiej krytyki jego poczynań należało do cnót. Wypowiedzenie władcy posłuszeństwa, bunt, zamach stanu były czymś wyjątkowym i przeważnie opierały się na jakimś jeszcze wyższym autorytecie, przeważnie religijnym. Nieco inaczej było w Rosji, gdzie morderstwa carów nie należały do rzadkości, ale były to „obyczajne” odziedziczone po niewoli tatarskiej i wiązały się ze szczególną, różną od naszej kulturą mongolską. Skądinąd obowiązywała w niej jeszcze większa bezkrytyczność w stosunku do działań władców.

Istniały więc dla każdego człowieka obszary działania zwierzchników nie podlegające krytyce. Ludzie rodziły się w tych warunkach, przyzwyczajali do nich, uważali za naturalne. Mniej więcej od XVIII wieku wskutek rozbudzącej się coraz więcej indywidualności ludzkiej ośmielano się coraz bardziej krytykować osoby dawniej krytyce niepodległe. Zaczęto odczuwać ich niesprawiedliwe, a czasem po prostu różne od oczekiwanych decyzje, jako winy i domagać się ich naprawienia. Doszło do Wielkiej Rewolucji Francuskiej i innych podobnych. Były one czymś istotnie różnym od dawnych wojen religijnych i buntów sukcesyjnych.

Usiłowano odtąd przemocą zlikwidować przemoc. Najbardziej chyba naga treść tych usiłowań wyrażona jest w znanej zwrotce „Międzynarodówki”:

*Nie nam wyglądać zmiłowania  
Z wyroków Bożych, z carskich praw.  
Z własnego prawa bierz nadania  
I z własnej woli sam się zbaw.*

Niestety zbawić się z własnej woli nikomu się jeszcze nie udało, a gdy każdy sobie ustanawia własne prawa, powstaje bezprawie. Wszyscy, którzy narzekamy na osobistą sytuację prawną, finansową, zdrowotną, i mamy o nią pretensje do innych kierujemy się w istocie treścią „międzynarodówki”. Prowadzi to po pierwsze to zatrucia jałdem niechęci własnych naszych dusz, a po wtóre często doprowadza do zamieszek, które nikomu już korzyści przynieść nie są w stanie.

\* \* \*

Ewolucja jaźniowa człowieka niewątpliwie prowadzi do coraz bardziej świadomego oceniania tego, co się wokół nas dzieje, Człowiek powinien traktować zarówno swoich podwładnych jak i najwyższych zwierzchników świeckich czy duchownych jako swoich braci. Autorytety ludzkie w prawidłowości rozwoju człowieczeństwa muszą być zastąpione autorytetem Boskim, ale z tego wcale nie wynika ani nieposłuszeństwo władzom, ani dopatrywanie się wszelkiego zła w „tych innych”. Prawidłowy rozwój świadomości jaźniowej powinien dawać świadomość własnych wad i chęć ich usunięcia, jak również wskazywać nam w jaki sposób możemy skutecznie działać ku poprawie świata, ku usuwaniu jego niedostatków. Krytykanctwo jest wprost zaprzeczeniem takiej postawy.

\* \* \*

Pierwsi mariawici nie zajmowali się krytyką alkoholowej polityki ówczesnego Cesarstwa Rosyjskiego, ale likwidowali alkoholizm w parafiach powierzonych swojej opiece. Nie demonstrowali przeciw niszczącym siłom ówczesnego dzikiego kapitalizmu, ale organizowali miejsca pracy dla swoich parafian. Owszem raz dali się wciągnąć w akcję zbierania dowodów niemoralności innych księży, ale byli przekonani, że wykonują wolę swoich zwierzchników - kardynała Vanutellego i biskupa Ruszkiewicz<sup>1</sup> - ulegli prowokacji. Wiadomo, że z tej akcji nie wynikało nic dobrego.

To, co napisałem nie oznacza nawoływania do ugodowości z każdym bezsensu, każdym ustrojem społecznym, z każdą polityką, z każdym okupantem. Wprost przeciwnie. Powinniśmy przeciwstawiać się wszelkiemu złu, gdzie tylko przeciwstawić się możemy, ale biorąc kilka rzeczy pod uwagę: Po pierwsze, niszczenie czegokolwiek, co uważamy za złe, jest moralne tylko wtedy, gdy w to miejsce potrafimy stworzyć coś lepszego. Po wtóre, przede wszystkim działać prawidłowo w swoim

bezpośrednim otoczeniu, a tylko w szczególnych przypadkach, gdy potrafimy i gdy los nam daje po temu okazję, ingerować w sprawy ogólniejsze. Przy wszelkiej krytyce wystrzegać się ewangelicznego dostrzegania żdźbła w oku bliźniego, również gdy ten bliźni jest naszym zwierzchnikiem.

Jest znacznie łatwiej zauważyć błąd w działaniu czymś niż we własnym. Dobrze jest krytykując brygadzystę, dyrektora, czy ministra, proboszcza, czy biskupa, zapytać uczciwie siebie samego, czy będąc na ich miejscu nie popełniłbym jeśli nie takich samych, to innych, może i gorszych błędów.

Ponadto powinniśmy pomyśleć i o tym, że to iż władzę nad nami mają tacy, a nie inni ludzie, należy do naszego losu, a los jest dany od Boga. Los, sytuacja w jakiej się znajdujemy, nie powinien być przez nas przyjmowany wyłącznie biernie. Przeciwnie, powinniśmy go traktować jako zadanie dane nam przez Boga do prawidłowego rozwiązania. Ale prawidłowe rozwiązanie będziemy mogli znaleźć nie wtedy, gdy z niechęcią będziemy patrzeć na innych, ale gdy będziemy umieli wybaczać innym ich błędy. Bo również wtedy, gdy jesteśmy przekonani, że naszym zadaniem jest działanie przeciwko działaniom innych ludzi, możemy zachować uczucie tolerancji w stosunku do naszych przeciwników.

A już działamy zupełnie przeciw własnemu rozwojowi wewnętrznemu jeśli krytykujemy prywatne działania innych, które nie dotyczą nas, ani nie dzieją się z jawną krzywdą innych ludzi. Niestety i takich krytyk we współczesnym świecie nie brak.

*brat Paweł*

<sup>1</sup> I. Stobiecki - *Próba Oceny - Praca nad sobą* zeszyt 9 str. 27.

## SAVONAROLA

W maju bieżącego roku minęła pięćsetna rocznica męczeńskiej śmierci Hieronima Savonaroli. Zginął wraz z dwoma innymi skazańcami - zakonnikami dominikańskimi, skazańców powieszono, a ciała spalono. Śmierć ta dokonała się na placu *Signorii* we Florencji, tuż przy słynnym ratuszu, a resztki pozostałe po kaźni, na polecenie władz, z nie mniej słynnego mostu florenckiego *Ponte Vecchio*, zrzucano do rzeki Arno. Rocznicą tej śmierci nie została odnotowana w szerszych kolach społeczeństwa polskiego, a nadto postać tego człowieka nie jest znana w

naszym społeczeństwie. Zresztą i w środowiskach włoskich Savonarola jest różnie oceniany, a zakonnicy z macierzystego klasztoru św. Marka także się oszczędnie wyrażają o swym konfratrze podczas choćby wyrzykowych rozmów z turystami. Wobec tego powstaje pytanie kim był Savonarola i co zdecydowało, że został skazany na śmierć.

Nieźmiernie trudno w małym artykule dać pełną ocenę działań tego człowieka. Źródła polskie są nieliczne. Był zakonnikiem dominikańskim, a nawet przeorem florenckiego klasztoru. Prowadził, głównie na terenie Florencji, w XV wieku, ożywioną działalność religijną, a nawet polityczną. Działal w okresie burzliwym nie tylko w ówczesnych Włoszech, ale i w Europie. Włoskie odrodzenie, tak brzemienne w skutki dla Europy w zakresie politycznym, gospodarczym, a szczególnie kulturalnym, nosiło także zagrożenia dla chrześcijaństwa. Tym zagrożeniem było nie tylko uwielbienie dla odkrywanych na nowo filozofów antycznych, ale stawianie nauk tychże wyżej od Ewangelii. W gronie bezkrytycznych wielbicieli nauk pogańskich znaleźli się i dostojnicy kościoła, którzy byli skłonni nawet uznać język Ewangelii za „barbarzyński”. Praktyki zaś papieży i licznej hierarchii, nie tylko włoskiej, pozwoliły na sformułowanie przez Savonarolę powiedzenie, że „w pierwszych wiekach Kościoła kielichy były z drzewa, a prałaci ze złota, a dziś Kościół ma kielichy ze złota, a prałatów z drzewa”. Zarzucał także klerowi stawianie na pierwszym miejscu interesów materialnych Kościoła i duchowieństwa, czemu podporządkowane zostały wszelkie działania kościelne, co powoduje, że „...prałaci nie odróżniają dobra od zła...” . Savonarola, „zakonnik - mistyk, działacz społeczno polityczny, jak by to można określić dzisiejszą terminologią, jednoznacznie występował przeciw tym praktykom. Przeciwnik nauk antycznych, zwolennik średniowiecza przyjaźnił się równocześnie z człowiekiem renesansu Picco della Mirandola. Tenże i inny koryfeusz renesansu we Florencji, Angiolo Poliziano, pod wpływem nauk Savonaroli na łożu śmierci przyjęli habity dominikańskie. Savonarola występował przeciwko tak zwanemu malarstwu dworskiemu, ale nie był wrogiem wszelkiej sztuki w szerokim pojęciu. Uważał, że sztuka winna pełnić rolę służebną wobec religii. Pod wpływem jego nauk, wielu twórców włoskich zmieniło charakter swej twórczości. Walczył o ograniczone choćby polepszenie doli biednych, zwalczał lichwę i wyzysk, ale radykalnym reformatorem bynajmniej nie był. Angażował się w walkę z papieżem, z rodem florenckich możnowładców - Medyceuszów. Popierał stronnictwo francuskie. Niektóre z twierdzeń Savonaroli znalazły następnie odbicie w naukach europejskich reformatorów XV wieku. Został potępiony przez papieża i za jego zgodą skazany na śmierć. Wiele jego twierdzeń i dokonań budzi dziś co najmniej zdziwienie, a może nawet zażenowanie wśród zakonu dominikanów. Nie zmienia to oceny, że był człowiekiem pragnącym zawrócić Kościół z drogi zeświecczenia, co w praktyce przyniosło reformację i konieczność odmiany życia kleru.

Życie i śmierć Savonaroli dowodzą z jakim trudem i jakimi meandrami przebijała się przez praktyki kościelne idea poprawy życia i powrotu na drogi wskazane przez Ewangelię.

S.G.

## C i s z a

Życie zakonne bez ciszy byłoby dla mnie jak łożysko rzeki bez wody, albo jak pięknie ogrodzony ogród bez gleby.

Wszelkie życie potrzebuje ciszy. Nad przyrodą roztacza się okresowo spokój nocy. My, ludzie kładziemy się do snu i chcemy aby go nam nie zakłócano.

A jak to jest z życiem w poczuciu Boga?

Bóg przemawia cicho i (przeważnie) może być przeżyty tylko w ciszy.

Często tego doświadczałem. Stopniowo cisza stała się dla mnie wielką potrzebą.

Rozkoszuję się na balkonie mojego mieszkania na drugim piętrze nocą, która następuje po letnich wieczorach. Ukochałem samotne spacerowanie w lesie, poprzez pola, łąki, wzdłuż grobli.

Nie żyję w klasztorze, lecz mieszkam w mieście i przemierzam je każdego szarego, powszedniego dnia, jak wielu innych ludzi. Co dzień poruszam się przez godzinę w ścisłości tego miasta.

Z początku to mnie denerwowało, ale się nauczyłem tę drogę tam i z powrotem wykorzystywać dla wyćwiczenia pewnego nastawienia: „pozostawania w sobie”. Przy dodatkowych paru minutach czasu, mogę iść wolno, iść snując myśli, jakie sam chcę dopuścić, nie poddawać się pośpiechowi miejskiemu.

Kochający poszukują cichych zakątków. To całkiem normalne. Dlaczego nie stosować tego samego w stosunku do miłości Boga? Cichy czas poranny, zanim wychodzę z domu, stał

się dla mnie bardzo, bardzo ważny. Wykonuję ćwiczenia duchowe lub prowadzę cichą medytację. Nie chciałbym utracić tych chwil.

Tak, kocham ciszę oraz milczenie i choć przyznaję, że nie umiałbym żyć w stałym milczeniu, te niewielkie chwile ciszy są tak życiowo ważne...

brat Ansgar

z niemieckiego tłumaczył brat Paweł

## Czy odnalezione listy Mateczki są autentyczne?

Czytając teksty odnalezionych dwóch listów Mateczki, przeżyłam ogromną rozterkę duchową, gdyż całe „*Dzieło Wielkiego Miłosierdzia*” znam od dzieciństwa. Listy Mateczki zamieszczone w tym Dziele wielokrotnie przeze mnie czytane zawsze trafiały mi do serca, podczas gdy nowoodnalezione listy są jakoś obojętne, nie czuje się w nich głębi duchowej.

Urodziłam się w rodzinie Mariawickiej, w której wieczorami ktoś z rodziny (bardzo często właśnie ja) czytał głośno dla domowników *Pismo Święte* lub *Dzieło Wielkiego Miłosierdzia*. Przy okazji chcę nadmienić, że w moim domu rodzinnym codziennie była sprawowana Ofiara Mszy Świętej ludowej. Przewodniczyła babcia.

Przygotowując się do pracy magisterskiej, która w dużej mierze opierała się na listach Najświętszej Mateczki, miałam szczęście korzystać z oryginałów znajdujących się w archiwum w Felicjanowie, jak również z listów Mateczki znajdujących się w archiwum plockim. Wypożyczył mi je brat biskup Innocenty. Ponieważ w czasie pisania pracy magisterskiej często potrzebowałam z nich korzystać, postanowiłam przepisać je do brulionu, bo oryginały są dla mnie drogimi relikwiami, których nie śmiałam po wielokroć brać do ręki.

Te przepisane przeze mnie listy z archiwum felicjanowskiego, jak i zamieszczone w „*Dziele Wielkiego Miłosierdzia*” czytam stale w kolejnych fragmentach w czasie codziennych medytacji po Mszy Świętej.

Stąd moja wielka wrażliwość na ich zawartość duchową. treść i sposób jej podawania, nawet wtedy, gdy zawierają zwykłe polecenia odnoszące się do podważenia domów zakonnych.

Czytając nowe, odnalezione listy Mateczki odczuwam w duszy pewien niepokój mimo, że zawierają myśli tak dobrze nam znane zarówno z Objawień jak i z różnych pism Najświętszej Mateczki. Nie wiem dokładnie co to znaczy, ale w moim osobistym wewnętrznym odczuciu różnią się one zarówno duchem jak i treścią. Może więc, mimo pozytywniejszej ekspertyzy nie są prawdziwe.

Pisma i nauki pochodzące od osób świętych, nie tylko nie wnoszą do duszy niepokoju, ale są lekarstwem i ukojeniem dla tych, którzy pragną bliższego zjednoczenia z Bogiem i nigdy nie nasuwają takich myśli, które pozwalałyby na dowolną i bardzo ludzką interpretację podanych treści. A o tym, że tak właśnie zostały odczytane ostatnio znalezione listy Mateczki świadczy zarówno wstępny artykuł poprzedzający je, jak i głos w dyskusji. W tego rodzaju sprawach ani ekspertyzy przeprowadzone według nowoczesnej techniki, ani wypowiedzi uczonych teologów nie mogą być bezpiecznym argumentem. Najpewniejszym sprawdzianem jest oddźwięk w duszach tych, którzy takie teksty czytają.

Niezależnie od powyższych zastrzeżeń należało wziąć pod uwagę czy sam fakt opublikowania tych listów będzie służyć dobru duchowemu mariawitów, czy też nie. Jeśli z opublikowania ich widzimy raczej szkodę niż korzyść, to lepiej było ich nie drukować. Kościół Rzymskokatolicki w podobnym przypadku na pewno nie działałby przeciw sobie.

Jeśli zaś chodziłoby o wypowiedzianie się w takich kwestiach, to mogą to czynić bezpiecznie ludzie, którzy przez długie lata prowadzą życie duchowe oparte na głębokiej czci Eucharystii, bądź choćby najprostszy mariawici, którzy wyssali święte mariawickie życie z mlekiem matki i trwają wiernie w Dziele Bożym. Dla sympatyków, czy innych ludzi z zewnątrz taka dyskusja może przynieść więcej szkody niż pożytku.

Niektóre ze słów Mateczki takich jak „wielka grzesznica” i inne występujących w Jej Objawieniach, tak jak one są napisane w oryginale nie nasuwają żadnych wątpliwości, podejrzeń, czy skojarzeń z jakąś słabością Mateczki. Np.. takie słowa Mateczki jak: „...lepiej raz skończyć i życie sobie odebrać”<sup>1</sup> w kontekście opisywanego udręczenia jakie Mateczka musiała przejść są ludzkim sposobem wyrażenia ucisku duchowego nie mającym nic wspólnego z jakimkolwiek złym zamiarem. Wyjęcie zaś tych słów z kontekstu i brutalne przełożenie ich na sytuacje

ludzkie, grzeszne, jest dla formalnego rozbioru słów może dopuszczalne, ale dla odczytania prawdziwej ich treści - zabójcze, prowadzące w ciemności. Taka interpretacja słów Mateczki może się także stać pretekstem do niegodziwego ich wykorzystania przez ludzi źle usposobionych do mariawityzmu, jak to już niejednokrotnie miało miejsce w naszej historii. Tym bardziej jest to niebezpieczne w czasie, w którym obecnie żyjemy, kiedy istnieje wielka dążność do podważania wszelkich autorytetów. Dalsza dyskusja nad - w moim osobistym odczuciu - nieautentycznymi listami Mateczki może posłużyć ludziom niechętnym mariawityzmowi do podważania świętości i autorytetu Dzieła Wielkiego Miłosierdzia, któremu „Felicjanów” był zawsze wierny i takim chce pozostać do końca.

s. Rafała Woińska

<sup>1</sup> „Pierwotny Tekst” akapit 23 = „Dzieło Wielkiego Miłosierdzia” wydanie z roku 1922 str. 126

## Podsumowanie (dotychczasowej) dyskusji o listach Mateczki

Cztery nadesłane do redakcji wypowiedzi na temat listów Mateczki zamieszczone wcześniej w zeszytach 8.<sup>1</sup>, 9.<sup>2</sup> oraz list siostry biskupki M. Rafaeli zamieszczony powyżej, jak też moja przedmowa do nowoodkrytych listów zamieszczona w zeszycie 7.<sup>3</sup> prawdopodobnie stanowią już całość dyskusji na ten temat i myślę, że warto ją obecnie podsumować, choć gdyby się znalazł jeszcze dalszy, a ciekawy głos w tej sprawie nie omieszkamy go opublikować.

Przed wszystkim należy stwierdzić, że większość wypowiedzi dotyczy sprawy „grzeszności” Mateczki. Różnice w stosunku do tego problemu są minimalne. Nikt z wypowiadających się nie sądzi aby Mateczka rzeczywiście była obciążona jakimś istotnym przewinieniem, lecz jedynie, że się uważała za grzesznicę, o czym świadczy fakt, że wielokrotnie używa tego słowa w odniesieniu do siebie. Może największa różnica występuje tu pomiędzy poglądami brata arcybiskupa Rafała i moimi. Ja się wyraziłem, że gdyby się nawet mogło okazać, iż Mateczka

przed otrzymaniem objawień Dzieła Miłosierdzia popełniła kradzież, cudzołóstwo lub morderstwo uważałbym ją nadal za wyróżnioną w świętości, podczas gdy brat arcybiskup określił takie stanowisko za „w istocie błędne”. Trzeba stwierdzić, że różnica występuje tu wyłącznie w odniesieniu do faktów, które *mogłyby* zajść, a nie do faktów zaistniałych, a więc jest abstrakcyjna.

Natomiast zarówno bracia Rafael i Wiktor, jak i siostra Rafaela słusznie mi wymawiają, że niewłaściwy był sam fakt mojego domyślenia się jakiego konkretnie rodzaju mógł być „upadek” Mateczki przez nią wspomniany. Przyszanuję się tu do istotnego przewinienia. Jako kapłan nie zalecam innym zastanawiać się nad cudzymi sławościami, a tu sam tak postąpiłem i to w stosunku nie do przeciętnego człowieka, ale do Wybranki Bożej i to nie mając żadnych danych, żadnych podstaw.

Stwierdziłem w przedmowie, że nowoodkryte listy przybliżyły mi postać Mateczki, że odczuwam ją obecnie żywiej, bliżej. To samo stwierdza siostra Łucja. Podobne odczucia potwierdziły i inne osoby które nie zabrały głosu na piśmie. Przeciwnie, siostra biskupka Rafaela odczuwa je jako obce, nie trafiające do przekonania. Zastanawiam się, czy nie pochodzi to stąd, że oba odkryte listy są napisane wcześniej niż jakiegokolwiek znane dotąd wypowiedzi Mateczki. Ponadto są to jedyne dotąd poznane listy Mateczki, w których się ona zwierza, ze swoich osobistych spraw, nic więc dziwnego, że są inne w sposobie wypowiedzi i w treści niż jej pisma późniejsze. Jedni tę inność odczuwają pozytywnie, innych może ona razić. O różnicy odczuć nie da się dyskutować. Można ją tylko stwierdzić.

Można się natomiast zastanowić, nad wątpliwościami siostry biskupki, czy listy są rzeczywiście autentyczne oraz, nawet jeżeli są, czy należało je publikować ze względów taktycznych. Muszę powiedzieć, że zarówno pierwszy jak i drugi problem był dyskutowany w naszym kolegium redakcyjnym. I właśnie dyskusje o nich spowodowały opóźnienie publikacji. Mnie było dane obcować przez krótki czas z rękopisami Objawień Mateczki i potem przez kilka lat z fotokopiami tychże. Poznawałem w faksymile listów bezpośrednio charakter pisma Mateczki. Niejako czułem, jak się poruszała jej dłoń, gdy pisała te listy. Porównywaliśmy też posiadane kopie jej listów z faksymile umieszczonymi w wydaniu Objawień z roku 1967. Wszystko wskazywało, że listy są autentyczne, ale zdecydował głos jednego ostrożnego brata, który zwrócił uwagę, że fałszerstwa autografów w historii mariawityzmu

już się zdarzały, więc żeby nie podejmować nawet cienia ryzyka, zdecydowaliśmy wtedy wypożyczyć dla ekspertyzy oryginał listu i pisma porównawczego. Użyczone nam tych oryginałów. O ekspertyzę poprosiliśmy nie poprostu dobrego fachowca, ale wybitnego specjalistę od porównywania pism, pana Antoniego Rzymka, cieszącego się szczególnym zaufaniem prawników krakowskich. Nie ma żadnych podstaw do stawiania w wątpliwość autentyczności listów.

Oczywiście nie warto i nie sposób publikować wszystkiego, tylko dlatego, że jest prawdziwe. Z publikacją odnalezionych listów można było również zaczekać do wydania zebranych pism Mateczki. Zdecydowało stwierdzenie, że listy zawierają nowe, nieznanne treści dotyczące Mateczki i jej przeżyć. Myśleliśmy też czy ktoś nie może tych treści wykorzystać przeciw Mateczce i mariawityzmowi. I tu trzeba było stwierdzić, że nie ma materiałów, których przy odpowiednio złej woli nie można wykorzystać przeciw komuś czy czemuś, a gdy się chce zaszkodzić, można takie materiały dofantazjować, jak to widać na przykładzie podanym w poprzednim zeszycie *Pracy*<sup>4</sup>.

Na ostatek wypowiem mój osobisty zawód, że nikt z dyskutantów nie podjął ważnej kwestii ćwiczenia ukrycia wewnętrznego (nie wyjawiania treści pracy wewnętrznej) ani wystawnych przyjęć towarzyskich. Obie te sprawy są w listach poruszone, a zarazem są do dziś istotne dla mariawitów. Pewnie wrócimy jeszcze kiedyś w *Pracy* do tych spraw.

brat Paweł

<sup>1</sup> M..Rafael - „Nie dla „grzeszności” Mateczki” - Praca nad sobą zeszyt 8 str.1.

<sup>2</sup> siostra M. Łucja . „Świętość Mateczki” tamże zeszyt 9. str.7 „”oraz brat Wiktor „Rozważania na kanwie listów Mateczki”, tamże zeszyt 9. str. 8  
<sup>3</sup>brat Paweł - „Odnalezione listy Mateczki - wstęp”, tamże zeszyt 7 str. 1

<sup>4</sup>brat Paweł - „O mariawitach materialistycznie, tamże, zeszyt 9. str. 28.

## POTRZEBA ODDOLNEJ EKUMENII

*Największym grzechem przeciw  
jedności chrześcijan jest obojętność*

Brak jedności chrześcijan jest zgorzeniem dla świata. Zwłaszcza dla młodych, dojrzewających, poszukujących ludzi, jest winą każdego z

nas. Wiele lat temu, kiedy się zastanawiałem czy jestem we „właściwym Kościele”, było to dla mnie też zgorznięciem i przyczyną frustracji. Kiedy się zacząłem interesować problemem ekumenizmu, pierwsze skojarzenie było najprostsze: jeżeli się coś rozłączyło to trzeba to połączyć, jak dzban, który się rozbił. Jednak już na pierwszy rzut oka widać, że kawałki nie pasują do siebie. Najbardziej odpowiednimi do połączenia wydawały się te, które się najpóźniej podzieliły, bo w nich dezintegracja nie była tak daleko posunięta, ani utrwalona. Ale i w tych przypadkach z pozoru prosty proces zdawał się przekraczać możliwości ludzkich dążeń.

Zacząłem postrzegać chrześcijan jako rodzeństwo, które wyszło z tego samego łona, piło to samo mleko i nosi w sobie te same geny, po których inni z łatwością ich rozpoznają i nazywają wspólnym imieniem. Dlaczego więc oni sami czują się rozdzieleni?

Stali się różni, często z winy obu stron, często w wyniku ludzkiej słabości, niecierpliwości, nieporozumienia, czasami pychy. Powiedzieli bratu: „po co mi taki brat, jestem dorosły, sam dam sobie radę - nie znam ciebie”. Zaufali swojej mądrości, swojej sile, poszli własną drogą zrywając wszelkie kontakty. Trudno wrócić do pierwotnej jedności, bo podziały są głębokie, sformalizowane i zinstytucjonalizowane. Na przestrzeni dziejów wielokrotnie mieliśmy do czynienia z rozłamami religijnymi i nie tylko. Gdybyśmy wrócili do czasów kiedy Jezus chodził po ziemi też mielibyśmy problem: Prawdziwy prorok, czy też nie? Jest zmartwychwstanie czy go nie będzie? Wiemy, że Pan jest jeden, ale czy rację mają faryzeusze, czy saduceusze, czy cenić sobie spokój w niewoli, czy też walczyć i zabijać w imię Izraela?

Podziały widzimy w całej historii Izraela, dochodząc wstecz poprzez konflikty królewskie, poprzez tragiczny konflikt Kaina i Abela do początków, a więc do tragicznego wyboru pomiędzy Bogiem i szatanem. I tutaj człowiek - za namową odwiecznego przeciwnika jedności - wybrał pozorne dobro niszcząc trwale pierwotną harmonię.

Właściwością człowieka ofiarowaną zresztą przez Boga jest możliwość wyboru, możliwość analizowania wartości. Obiektywne zło może być postrzegane w krótkiej perspektywie jako dobro, a wspaniałe pomysły na uzdrowienie ludzkości nie zawsze muszą być zamysłami Bożymi. Nawet Piotrowi Jezus powiedział „zejdź mi z oczu szatanie”, a przecież Piotr chciał tylko dobra i to dla samego Boga.

Jesteśmy więc różni z natury i musimy się liczyć z wielością sposobów postrzegania świata, postrzegania człowieka, a tym bardziej postrzegania wiary, wtedy, kiedy myśl dotyka misterium i wszystkie słowa, wszystkie określenia są nieadekwatne a wnioskowanie jednostki wynika z wychowania, wiedzy, wiary i historycznych uwarunkowań. Jednak wielość punktów widzenia nie musi automatycznie oznaczać wielości odłamów religii, bo to praktycznie oznaczałoby zanik wszelkich struktur religijnych.

Przed takim totalnym rozpadem może nas obronić jedynie pokora, realna ocena własnych możliwości, czerpanie z tradycji Ojców Kościoła, jak również zaufanie do współczesnych autorytetów.

Jesteśmy więc różni, ale czy to oznacza przeciwstawni? Mąż i żona też są różni, ale ich różność jest konstruktywnym atutem. Psychika mężczyzny i kobiety różni się zdecydowanie, a przecież jakże się wspaniale uzupełniają, wspomagają i ubogacają. To miłość jest kluczem do jedności. To samo małżeństwo, w którym nie ma już miłości czuje to co czują rozłączeni chrześcijanie - wewnętrzne rozdarcie, niepewność, często niechęć do drugiego, niekiedy potrzebę dominacji, zanik pokory wzajemnej, nieustępliwość, podświadomą chęć zawiadnięcia obszarem drugiego, jego dobrami materialnymi jak również psychiczną nad nim dominację. Często dostrzegamy chorobliwe dążenie do obrony uzyskanych już zasobów. Ocenę tę należy rozważać oczywiście w kontekście historycznym, stosując ją zwłaszcza do okresów, kiedy rozłamy stawały się faktem. W krótkim czasie rozdziły się liczne różnice, często sztucznie preparowane dla odróżnienia, jednoznacznej identyfikacji, a w konsekwencji - trwałego rozłamu. Jednak rozłamy Kościoła są spowodowane przede wszystkim rozłamem w ludzkiej naturze.

Co można zrobić dziś? „Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest, miłość nie zazdrości, nie szuka poklasku, nie unosi się pychą; nie dopuszcza się bezwstydu, nie szuka swego, nie unosi się gniewem, nie pamięta złego; nie cieszy się z niesprawiedliwości, lecz współweseli się z prawdą, wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko przetrzyma. Miłość nigdy nie ustaje...” (1 Kor 13,4-8.)

Trzeba więc rozsądnie wykorzystać bogactwo wielości, bogactwo różnorodności, szczególne osiągnięcia teologiczne i duchowe poszczególnych Kościołów, nie trzeba się obawiać czerpania z tego co jest dobre.

Chrystus - Oblubieniec nie jest społecznością wiernych - Oblubienią ale razem są jedno - są Kościołem Powszechnym. Tak i my możemy nie tylko wierzyć w możliwość, ale uznać fakt jedności wszystkich składników Kościoła Powszechnego. Możemy słabiej akcentować kwestie, które nie stanowią podstawy wiary, a stoją w sprzeczności do stanowiska innych wyznań. Możemy badać, czy dzielące nas różnice są różnorodnością, czy sprzecznością słów, pojęć, czy błędną interpretacją. Nie jest to zadanie dla świeckich - tego nie trzeba uzasadniać. Myślę, że wszystkie kościoły chrześcijańskie dają wiernym margines na własne interpretacje, jednak przeciętnego chrześcijanina nie absorbują niuanse teologiczne, które się niegdyś stały przyczyną rozłamu.

Taki rozdzźwięk może wystąpić także i dziś i to we wszystkich kościołach chrześcijańskich np. podczas dyskusji w średnio zaawansowanych grupach, rozdzźwięk taki może się nawet zrodzić w umyśle każdego człowieka. Nasza dojrzałość i poglądy mogą ewoluować wraz z wiekiem i doświadczeniem, za czym wcale nie musi iść zmiana przynależności do kościołów.

Teoretycznie w każdym kraju wierni powinni się proporcjonalnie podzielić według własnego umysłu na grupy prawosławnych, rzymskich katolików, protestantów itd. Dlaczego się tak nie dzieje? Nie jest przypadkiem, że najwięcej prawosławnych jest na wschodzie, rzymskich katolików w Europie środkowej a protestantów w krajach anglosaskich. Jest to po prostu dziedzictwo kultury i wychowania. Wierni przywiązani są do wiary rodziców, do wiary swojego środowiska, do liturgii. Jednocześnie boją się inności, odrzucenia, nawet w razie wątpliwości nie są pewni swojej wiedzy, swojej dojrzałości i tylko w wyjątkowych przypadkach pewni są swojej decyzji o odrzuceniu wiary ojców.

Sądzę, że nikt z chrześcijan laików, ani duchowieństwa nie robi sobie na złość trzymając się mocno kłamstwa i oszustwa, aby tą drogą dojść do zbawienia - to byłby absurd. Wynika z tego, że się wszyscy kierują uznaną przez siebie prawdą i kroczą subiektywnie słusznie obraną drogą do zbawienia przez ten sam chrzest, przez tego samego Jezusa Chrystusa.

Skąd więc tak trwale różnice? To przeciwnik jedności ubrał nas jak drużyny sportowe w różnokolorowe stroje i utrwalił w nas poczucie inności. Sprawił, abyśmy się poczuli przeciwnikami, aby sąsiad z sąsiadem żyli w niezgodzie ze względu na przynależność religijną. Ludzkie słabości zarówno świeckich jak i hierarchii skrzętnie zakwalifikował jako ułomności innej wiary a wyższość innej. Teologiczne dyskusje nabrały wymiaru realnej niechęci, często nienawiści i nietolerancji, przeniosły się z trybun mówców do wsi, na ulice miast, aż między zaczęły wyznaczać granice przynależności religijnej. Dziś konflikty są generowane właśnie „na dole” i często przenoszone na szczyty hierarchii, rzadko odwrotnie, a ostatnio chyba wcale.

Należy zwracać uwagę na zwalczanie skrótów myślowych, stereotypów, które blokują drogę do jedności. Należy położyć większy nacisk na pracę „u podstaw” to tam drzemie siła jedności, a może drzemać siła destrukcji. Nie można tolerować, aby ekumenizm był domeną elit, a wśród chrześcijan, często żyjących obok siebie był pojęciem abstrakcyjnym. Największym grzechem przeciw ekumenii jest obojętność!

Proponuję, aby we wszystkich Kościołach szukać ludzi dojrzałych, którzy by się chcieli spotykać, rozmawiać z przedstawicielami innych Kościołów. Nie chodzi o negocjacje stanowisk w sprawach dogmatów teologicznych. Chodzi o poznanie siebie, przełamywanie barier psychologicznych, socjologicznych, historycznych, wypracowanie koncepcji współistnienia dziś, zakładając w perspektywie pełną jedność. Jeszcze raz porównując do małżonków: trzeba ze sobą rozmawiać. Konflikty ukrywane nakładają się zacierając prawdziwe przyczyny, wzmagają agresję wybuchając ze zdwojoną siłą. Próby rozwiązania konfliktów na bieżąco łagodzą sytuację, pozwalają poznawać swoją inność, próbować ją zrozumieć, zaakceptować. Dopiero taka atmosfera sprzyja jedności, sprzyja poznawaniu siebie, słuchaniu siebie nawzajem. Jest to cecha niedoceniana, a jakże istotna w odtwarzaniu zerwanych więzi, zrozumieniu właściwego wymiaru problemów.

Taka płaszczyzna - nazwałbym „ekumenii świeckiej” mogłaby stymulować rozmowy na szczeblu zwierzchników Kościołów, ukazywać problemy różnorodności we właściwym świetle, wreszcie pozwoliłaby wykorzystać dary Ducha Świętego, który sieje gdzie chce, a bez Jego działania nic uczynić nie zdołamy. Mamy wiele wspólnych problemów jak: wychowanie młodzieży, utrata wartości rodziny, laicyzacja życia, przesadny materializm, aborcja, zagrożenia etyki lekarskiej, a z drugiej strony zubożenie części społeczeństwa, nadmiar agresji w środkach masowego przekazu przy jednoczesnym niedoborze pozytywnych wzorców postępowania. To są wszystkie problemy chrześcijan, i wspólne wnioski, wspólne stanowisko byłoby cennym wkładem zarówno w rozwiązywanie problemów jak również poznawanie siebie nawzajem, przymiarki do przyszłej jedności organizacyjnej. I po tym nas będą poznawać, jeżeli się będziemy wzajemnie miłowali. Człowiek potrzebuje miłości, akceptacji. Sytuacja rozłamu jest destrukcyjna z natury rzeczy, dla ludzi młodych, wrażliwych i zagubionych często bywa motywacją do szukania tzw. „jedynej prawdy” w fanatycznych organizacjach religijnych, w których wszystko jest jasne i oczywiste. Nie znajdując miłości u chrześcijan stają się żerem międzynarodowych organizacji wyzysku i deprawacji człowieka.

Uczestnicząc w spotkaniach ekumenicznych czuję ducha jedności. Czasem jestem zaskoczony, że wszyscy mówimy jednym językiem, często cytując się nawzajem. I wtedy wierzę, że jest jeden powszechny i apostołski Kościół, trzeba go tylko dostrzec i umacniać. Pragnąłbym, aby ludzi czujących to co ja było coraz więcej we wszystkich kościołach.

Sami biskupi nie stworzą jedności - musimy im w tym pomagać: pragnieniem, modlitwą, przykładem, świadectwem.

*Marek Suder*

---

## PERSONA

Czym jest osoba? - to jest „ja”, rzecz prosta,

które się stroi w metafizyk palmy -

W czym jest, jak nowy rzekł Uriel Acosta, błąd kapitalny!

Ach, personalizm, personalizacja -

więc kult osoby, osóbek i osób

I w tym najwyższa wszystkich stanów racja z nową Kanossą!

*Jerzy Znamierowski*

---

## SKARB Y N A Z I E M I

Zbawiciel, pragnąc zabezpieczyć swoich apostołów przed oddawaniem serca mamonie pouczał: „*Nie skarbcie sobie skarbów na ziemi, gdzie rdza i mól psuje i gdzie złodzieje podkopują się i kradną, ale skarbcie sobie skarby w niebie... Albowiem gdzie jest skarb twój, tam jest i serce Twoje*” (Mat. 6; 19,21). I przykro pomyśleć, że chciwość, przywiązanie do pieniądza wkrada się czasem podstępnie i do nas, zarówno laickich członków Zgromadzenia jak i kapłanów. To jest jedna z największych przeszkód w pracy duszpasterskiej i wszelkiej działalności zakonnej. Służba ołtarza przeraża się wówczas jakby w rzemiosło, święte czynności - w

przedmiot handlu. Nie zgniecione w zarodku pragnienie posiadania przeraża się w coraz większą żądzę większego i lepszego mienia. Obojętnie szybko nasze sumienie, rozluźnia się, tępieje. Taka żądza zamyka duszę i serce duchownego na wpływ i działanie łaski. Staje się ta żądza źródłem nieporozumień, nieufności, zazdrości. Posiadanie pieniędzy dla nich samych stwarza nowe niebezpieczeństwo, w które świat usiłuje nas wciągnąć. Pieniądze mają o tyle tylko wartość, o ile są środkiem wymiennym za coś wartościowego. Świat zaś pociąga wygodami, przyjemnościami i rozkoszami tych, którzy posiadają pieniądze.

Nic dziwnego, że trudno się również nam usunąć od przyjemności, jakich dostarcza współczesna cywilizacja i nie dostosowywać w swoim sposobie życia do otoczenia nastawionego na doczesność. Ale święty Jan przestrzega: „*Wszystko, co na świecie jest, to pożądliwość oczu i pycha żywota, która nie jest z Ojca, ale ze świata jest*” (1. Jana 2;16). Apostoł mówi to właśnie do nas, którzy chcemy żyć w świecie i służyć temu światu, ale nie dać mu się pochłoniąć. Bądźmy czujni!

*opracował brat T. M.*

---

## MOJA PRZYGODA Z ALKOHOLEM

Nikt z nas nie rodzi się alkoholikiem, palaczem, narkomanem. Ja również sam nigdy bym nie wymyślił, żeby liście tytoniu zawinąć w papier, podpalić i wdychać dym, przed którym płuca bronią się, jak przed każdą inną trucizną. Nie wymyśliłbym też, żeby połykać napój, który jest niesmaczny, wywołuje wrodzone odruchy wstrętu, a następnie zaburza równowagę, świadomość, nie wspominając już o dniu następnym.

Ale przecież „co ludzkie” nie powinno mi być obce. Zacząłem po osiągnięciu pełnoletności (kolędzy zrobili to znacznie wcześniej) sięgać po papierosy i alkohol. Papierosy udało mi się zaakceptować po trzeciej próbie. Z alkoholem było inaczej.

Choć w domu na codzień nie było alkoholu, to jednak był on stałym elementem spotkań rodzinnych. Oczami dziecka przyswajałem sobie ten widok, a ogólna wesołość, związana ze stawianiem butelki na stole pomagała zaakceptowaniu takiego zwyczaju. Chyba nie widziałem „imprezy” bez wódki i nie sądziłem, że może być inaczej.

Początkowo piłem wyłącznie dla zademonstrowania swojej dorosłości i wyegzekwowania prawa do picia. Zachowywałem się poprawnie, więc z akceptacją nie było trudności. Automatycznie



wkroczyłem w niedostępny dotychczas świat dorosłych, bariera wieku zaczynała znikać, co było budujące i nawet korzystne.

Rozpocząłem pierwszą pracę. Dla zaspokojenia współpracowników wystarczało postawić sześć półlitrowek wódki z okazji moich imienin. Grono „bliskich” powiększało się z dnia na dzień, a więc i ja miałem coraz więcej solenizantów do „odwiedzenia”. Nie brakowało również innych okazji do „radości” jak premie, „trzynastki”, a także okazji do nostalgii, jak wyjazdy na delegacje. Wszystko to bywało odpowiednio uczzone. I tak minął pierwszy rok pracy.

Okazało się, że alkohol nie musi być niesmaczny, wystarczy go odpowiednio szybko przelknąć. Trudniej było ze szklanki, bo trzeba było „brać ją” na trzy lub cztery łyki, ale inni przecież sobie jakoś radzili.

Zacząłem się dziwić, że kolega po dwóch kieliszkach nie chce więcej. Przecież daleko mu do nietrzeźwości, a jeśli nawet, to atmosfera pełnej wyrozumiałości w zakładzie gwarantowała nietykalność. Nie rozumiałem tego „dziwola”.  
 Wieczorami odwiedzałem licznych znajomych z dużym prawdopodobieństwem natrafienia na jakąś imprezę. Nawet, kiedy nie było imprezy, okazywało się, że w szafie stoi butelka wódki, kupiona „na wszelki wypadek” z którą właściwie nie wiadomo co zrobić i po co ona tam stoi. Ja też zarabiałem, więc nie wypadało być pasożytem, trzeba też „oddać” to, co się wypilo, a takiej oddanej butelki przecież nie ma sensu chować do szafy. Często się zastanawiałem do kogo by tu dziś iść, żeby dobrze trafić, a intuicja coraz trafniej podpowiadała.

W tym miejscu muszę podkreślić, aby uniknąć fałszywych oskarżeń, że nie byłem pijakiem. Zawsze grzecznie wracałem do domu i szedłem spać. Z ranną niedyspozycją też nie było problemu - brygadzysta ludzki człowiek i znał się na rzeczy. Pieniądże na życie dawałem, byłem układnym młodym człowiekiem.

W tym miejscu muszę podkreślić, aby uniknąć fałszywych oskarżeń, że nie byłem pijakiem. Zawsze grzecznie wracałem do domu i szedłem spać. Z ranną niedyspozycją też nie było problemu - brygadzysta ludzki człowiek i znał się na rzeczy. Pieniądże na życie dawałem, byłem układnym młodym człowiekiem.

W tym czasie zaczęli robić coraz gorsze wódki. Po kilku kieliszkach nabierała ona smaku wody, strasznie słaba, zupełnie jak kompot. Wina nie używałem, bo miałem obrzydzenie, chyba, że się trafiał gąsiorek „robionego”. Jednak wino ogólnie było uważane za mało szlachetny trunek, „jabłkowe” dla biedaków, a wytrawne dla dziwolągów.

Często spotykałem ludzi „wstawionych” na ulicy lub w tramwaju. Często byli sympatyczniejsi, niż reszta „sztywniaków”, potrafili nieraz umilić podróż.

Dostałem wezwanie do wojska. Trudno na trzeźwo jechać, więc „było przed” i w podróży, a rano po przyjeździe jeszcze wino, żeby bez stresu przekroczyć bramę koszar. I skończyło się. Maleńki żołd wystarczał na papierosy i raz w miesiącu na sześć piw w jednej kolejce. Dopiero po przysiędze posmakowałem wódki. Była jak balsam dla ciała i duszy, gdyby się rozlała na stół, to chyba byśmy zlizywali co do kropli. Tylko głowa jakaś słabsza, pomimo, że powietrze lepsze. Po wojsku okazało się, że głowa już całkiem słaba - brak treningu.

Trafilem wkrótce na wesele i „film mi się urwał”. Opowiedzieli mi co robiłem. Przez kilka dni źle się czułem. Postanowiłem nie wracać do dawnej formy, zresztą zerwane kontakty towarzyskie pomagały decyzji. Jednak namowom „na drugą i trzecią nogę” nie było końca. Zrozumiałem, że po pierwszym idzie drugi, więc trzeba zrezygnować z pierwszego.

Połowę spotkań spędzałem na tłumaczeniu dlaczego nie chcę. A może nie mogę? W domu też nie stawiałem wódki, to był już mój dom. Okazało się, że mniej ludzi mnie lubi niż przedtem, dokonała się wyraźna selekcja na tych, którzy przychodzą do mnie i tych, co do kieliszka. Tych pierwszych pozostało niewiele, ci drudzy patrzą na mnie jak na dziwoląga i nie mogą zrozumieć - dlaczego?

Czasem spotykam pijanego w tramwaju i bardzo mi go żal. Ten dzień mógłby spędzić tak pięknie, a on go stracił na zawsze. Stracił też pieniądze swojej rodziny.

Nie chcę żadnego „jednego kieliszka”! Kilkunastoletni syn nie wie jak wygląda „wstawiony” tata. Dziś, gdyby ktoś chciał mi zadać umartwienie, niech mi każe wypić jeden kieliszek. Już kiedyś patrzyłem przez szklane dno pustego kieliszka i nie chcę tego „filmu” oglądać od nowa.

/-/ nazwisko autora znane redakcji

Zastanawialiśmy się czy powyższy, złożony w redakcji tekst zamieścić. Czytelnicy zainteresowani pracą nad sobą chyba nie bywają alkoholikami. Uznaliśmy jednak, że te wyznania mogą być pożyteczne dla wykorzystania w pomocy innym ludziom. Niesienie w świat Dzieła Miłosierdzia, to nie tylko górnotłone rozprawianie o adoracji, medytacji... ale i pomoc przy leczeniu najbardziej prymitywnych schorzeń ludzkości. Tym się

zajmowali i pierwsi członkowie Zgromadzenia Mariawitów z końca ubiegłego wieku.

## Z dziejów Zgromadzenia

### 3. Kto jest mariawitą

Jednym z poważnych problemów przy organizacji nowej gałęzi Zgromadzenia Mariawitów było rozstrzygnięcie, kogo można uważać za mariawitę. Osobliwe, że dotyczyło to w mniejszej mierze tych, którzy się garnęli do mariawityzmu i Zgromadzenia spoza mariawickich kościołów. Te osoby wykonały już wielką pracę wewnętrzną zapoznając się z objawieniami Dzieła Miłosierdzia i je przyjmując, a zarazem trudniej było im zrozumieć wszelkie wewnętrzne spory mariawickie. Problem dotyczył natomiast nieco innych poglądów i odczuć religijnych wyznawców „płockich” i „felicjanowskich”. Szło tu nie tyle o takie czy inne sformułowania doktrynalne. Przypisuje się Mateczce powiedzenie, że dogmaty rozdzieliły narody, a miłość je zjednoczy. Nasza gałąź Zgromadzenia miała się zająć wprowadzaniem w życie zaleceń Dzieła Miłosierdzia dla Świata i niesieniem wieści o nim tam, gdzie nie jest ono jeszcze znane, a nie sporami doktrynalnymi. Szło natomiast o osobisty stosunek do osoby Założycielki. Wiadomo, że „Felicjanów” często nie bez racji zarzuca „Płockowi” braki w głębszej czci dla Mateczki. Sprawa była więc dla nas istotna. Tymczasem wzięliśmy pod uwagę słowa Zbawiciela o stosunku do Niego samego. Chrystus powiedział: „*Nie każdy, kto mi mówi: Panie, Panie wnijdzie do Królestwa Niebieskiego, ale kto czyni wolę Ojca Mojego,*” (Mat, 7:21) Chrystus stwierdza więc, że stosunek do Niego mierzy się nie tyle zewnętrznym szacunkiem ile wypełnianiem Bożych zaleceń. *Mutatis mutandis* zastosowaliśmy to do czci Mateczki. Natychmiast się zresztą okazało, że ci, którzy są gotowi wypełniać zalecenia dane przez Mateczkę zarazem mają do niej głębokie osobiste uczucie. Jeśli w świecie naukowców, czy artystów istnieje przywiązanie, szacunek i to coś nie dającego się wyrazić słowami, a przecież istotnego w stosunku ucznia do „mistrza”, to o ileż bardziej musi się to stosować do tych, którzy przyjęli od Mateczki wieść, jak w dzisiejszych, przełomowych czasach żyć i działać z pożytkiem dla przyszłości świata. Nie wymagaliśmy więc od przystępujących do nas osobnej deklaracji o czci do Mateczki, a zarazem nie zdarzyło się, aby ktokolwiek wstępując do nas i zobowiązując się żyć dla Dzieła Miłosierdzia i szerzenia wieści o nim w świecie, nie czuł

miłości do Założycielki Zgromadzenia temu Dziełu służącego. Ci natomiast, co zewnętrznie okazywali przesadną nieraz cześć Mateczki, ale w praktyce nie byli skłonni postępować według jej wskazówek, nie garnęli się do nas. I tak problem rozwiązał się sam.

brat Paweł

**PRACA nad sobą** - aperiodyk mariawicki. Ukazuje się na prawach rękopisu. Wydaje: Zgromadzenie Mariawitów. Redaguje: kolegium. Redaktor wykonawczy: brat M. Paweł Rudnicki. Za treść artykułów odpowiadają autorzy; nie musi ona odzwierciedlać przekonań redakcji. Adres redakcji i administracji: ul.Św. Sebastiana 10 m. 14 - 31-049 Kraków. „Prenumerata” (zwrot kosztów powielania i kosztów przesyłki pocztowej w kraju) obejmująca dowolne cztery kolejne zeszyty wynosi 12 zł. Należność należy przysyłać wyłącznie listem w postaci drobnych znaczków pocztowych (po 1 zł. lub mniej) podając dokładny adres nadawcy. Można też „prenumeratę” opłacić osobiście w redakcji.. Podana tu wysokość prenumeraty obowiązuje w ciągu trzech miesięcy od miesiąca ukazania się tego zeszytu i może potem ulec zmianie w miarę wzrostu cen papieru, powielania, lub opłat pocztowych. Osoby, które opłaciły już prenumeratę, otrzymają jednak opłacone przez siebie zeszyty bez dopłaty. Wysokość prenumeraty zagranicznej zależy od kraju i żądanego sposobu przesyłania (poczta zwykła lub lotnicza) - podajemy indywidualnie na zapytanie. Osoby zamawiające „Pracę nad sobą” po raz pierwszy, zechcą zaznaczyć od którego zeszytu mamy rozpocząć wysyłkę.